Nr. 31. We Lwowie dnia 5. sierpnia 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Z ALP.

(WRAŻENIA).

I.

Na jeziorze Czterech Kantonów.

1.

Rozbłękitnioną płyniemy topielą...
Na jej zwierciadło snać się niebo zwali,
Ciężkie od blasków, co się po niem ścielą,
Lejąc smaragdy wkroś stopionej stali.

Naokół góry, naodziane zielą
Marzących świerków, kąpią szczyty w fali;
Czasami śnieżne kopy się zabielą
Lub zaczernieją granity w oddali.

Wietrzyk zawiewa i wraz z szumem wody
Duszę sennemi melodjami pieści,
W żar jej piekący słodkie niosąc chłody.

I głębia, pełna tajemniczych wieści,
Ciągnie ją k'sobie na nieznane gody —
Precz od trosk ludzkich, od ludzkiej boleści.

Na statku pod Lucerną 21. lipca 1895.

2.

Barwami tęczy jezioro się mieni:
Słońce południa stapia się w lazury,
W smaragd i turkus w tej wodnej przestrzeni,
W złota ciecz skrzącą, w bronzu połysk bury.

W fioletowe mgły spowite góry,
W wstęgach śniegowych, w podszyciu zieleni,
By koronkowe, raj więżące mury,
Z swych tajemniczych wabią nas półcieni.

Przestworza cisza przedziwna zalega...
Czasem głos ludzki zerwie się z nad brzega
Pieśnią wesołą, lub się głuchym gwarem

W statku zagnieździ. Ale duch nie słyszy,
Co mówią ludzie; zbratany z bezmiarem,
Światłem i falą płynie w raj tej ciszy.

Na statku wzdłuż Urimbergu 21. lipca 1895.

3*.

Majestatyczne, opieśnione wody!
Skalne olbrzymy strzegą waszej toni,
Z której promienny wyszedł duch swobody,
Co ludzkiej piersi od spodlenia broni.

Cóż, że się zbiera naokół ich skroni,
Którą srebrzyste opasały lody,
Burza szalona? Grom się z niej wyłoni,
By w nic się rozbić o kamienne grody.

O święte fale! niech ten duch wasz w mojej
Spragnionej piersi będzie nakształt zdroji,
Które w rozpaczy dniach laska Mojżesza

Z skał wydobyła — tą cudowną mocą,
Co zbawią ludy; niech walczących rzesza,
Czerpiąc z tych źródeł, nie padnie przed nocą.

Na stopniach kaplicy Tella 21. lipca 1895.

4.

Negacjo życia, znikczemniała, marna,
Wiążąca ducha, co się rwie w błękity,
Jako te śniegiem naodziane szczyty,
Które powtrzymać pragnie chmura czarna

W pięciu się dumnych ich turni!... Nie powiem,
Choć się zbudzona wyobraźnia sili,
Co dziś jest we mnie — to jedno, że zdrowiem
Pierś ma oddycha w tej wspaniałej chwili.

Negacjo życia, stwarzająca karły!
Wobec tych cudów wielkiego Żywota,
Co płodzi granie i głębie jeziora,

Gaśnie twych oczu szklannych blask umarły,
Znika oblicza twego bladość chora,
Bo Raj przed tobą otwiera swe wrota..

Na Axelstrasse nad brzegiem jeziora 21/7 1895.

* Wiersz wpisany do księgi pamiątkowej w kaplicy Tella.

Jan Kasprowicz.

Rodowody Jana III.

W Akademji umiejętności w Krakowie na posiedzeniu wydziału historyczno-filozoficznego, Tadeusz Korzon odczytał rzecz p. t. »Rodowody Jana III«.

Gdy po śmierci pierwszego króla Piasta, Michała Korybuta, powołanym został do tronu zwycięzca z pod Chocimia, ród Sobieskich był liczny, w jednej linji skoligacony przez małżeństwa z magnatami, w innych zaś rozpościerający się między szlachtą średniej zamożności oraz ubogą, szaraczkową. Na kartach historji uwydatniają się: dziad króla Jana, Marek, nabywca Złoczowa i ojciec Jakób, który przez zaślubienie wnuczki Żółkiewskiego posiadł Żółkiew, przez gospodarność powiększył fortunę, a przez przymioty swoje umysłowe i zasługi obywatelskie, doszedł do pierwszego krzesła w senacie; on to zapewne wysnuł swój rodowód od Leszka Czarnego. Metryka koronna, regestry podskarbich, akta grodzkie i ziemskie, księgi trybunału koronnego, a szczególnie tak zwane wyroki lubelskie zawierają dość dużo wskazówek co do stosunków prawnych i ekonomicznych całej tej gromady szlacheckiej, która się pisała: na Sobieszynie, lub z Sobieszyna; pozwalają też posunąć linję królewską wstecz o trzy pokolenia, aż do pierwszych lat XVI. w., do Sebastjana I., który posiadł Pilaszkowice jako dzierżawca królewski. Dalej sięgają genealogje, ułożone w XVIII. w., jak n. p. Chruścińskiego »Clypeus Serenissimi Ioannis III.« (1717 Brigae). »Deductio genealogiae Serenissimae domus Sobiescanae« (Ms. w metryce kor. ks. 222 fol. 192—197), Jabłonowskiego »Tabulae Jablonovianiae ex arboribus genealogicis« etc. (1743. Amstelodami), bo do Janika, który miał być wojewodą u Bolesława Chrobrego i twórcą herbu Janina. Pochlebiając próżności królewicza Jakóba, Chruściński związał Sobieskich nietylko z Leszkami, ale i z królami czeskimi i duńskimi bez żadnych powodów. W obecnym stanie nauk historycznych można już postawić twierdzenie, że pierwotnem gniazdem Sobieskich była wieś Janina pod Buskiem, upamiętniona herbem tegoż imienia, należącym do wielu innych też rodów (Pszonków, Pełków, Bidzińskich, Usarzowskich, Kołaczkowskich, Szczepieckich, Turskich, Kaszowskich, Podlodowskich, Olszbanków), że Sobieszyn był późniejszą kolonją, założoną przez jakiegoś Sobiesza, Sobiecha czy Sobiesława nad Wieprzem, w zawiślanej części województwa sandomierskiego przed końcem XV. w.; że z tego drugiego gniazda członkowie szybko rozmnażającego się rodu posuwali się z jednej strony ku ziemi łukowskiej, a z drugiej w głąb Lubelszczyzny; że linja królewska w ciągu XVI. w. posiadła Pilaszkowice nad Giełczewką, zanim doszła do magnackiej fortuny w województwie ruskiem w w. XVII. Co się tyczy świetności rodu, muszą być odrzucone stanowczo koligacje z Piastami i wszelkiemi dynastjami, możliwem zaś i prawdopodobnem jest istnienie Janika, wybitnego rycerza z okresu wojen Bolesławowskich, oraz Marka, podczaszego na dworze Leszka Czarnego. Obadwaj mogą należeć do rodu Janina; sława zaś historyczna Sobieskich poczyna się w wojnach Stefana Batorego.

Mniszka-chorąży

(La monja Alferez).

Nie ulega, zdaje się, wątpliwości, że wyobraźnia wykształconego człowieka czasów najnowszych odwraca się coraz bardziej od naturalistycznej apoteozy powszedniości, od drobiazgowości umysłowej i życiowej współczesnych bohaterów książkowych i coraz częściej, a coraz namiętniej ogląda się za czemś, lub za kimś nadzwyczajnym, za człowiekiem z ognia i żelaza, albo, co najmniej, wrzącej krwi i niezłomnej kości. Dzieci swego wieku, historycy - monografiści, dali się także porwać nowemu prądowi i występują coraz częściej w roli adwokatów, rozkochanych w swoich klientach i klientkach z epoki włoskiego, czy też francuskiego odrodzenia, albo też ze »starej, wesołej Anglji«, lub nareszcie z pstrego życia rozmaitych gniazd germańskich.

To też nie mało zjawia się teraz rozpraw i szkiców napełnionych błyskami miecza, zawrotnemi przedsięwzięciami i potokami krwi gorącej, zbyt gorącej może, aby mogła ostudzić zapał autora i jego nowożytnego czytelnika. A cóż dopiero, jeżeli wrażliwemu badaczowi uda się odnaleźć w którymkolwiek z dawnych tych ludzi czynu nieśmiertelny pierwiastek poezji i piękna, owej *bellezza*, której się nigdy nie sprzeniewierzano w czasach renesansu! Wtedy znika już ostatecznie wszelka bezstronność i krytyka, a historyk i czytelnik *fin de siecle*'u trują się do reszty bujną wonią tych kwiatów grzechu, upajają się nią bez pamięci.

W obec takiego nastroju pewnego odłamu inteligencji teraźniejszej, nic dziwnego, że postarano się przypomnieć nam znowu niezwykły utwór literacki, a mianowicie autobjografją prawdziwą z pierwszej ćwierci wieku XVII. Oprowadza nas ona po różnych ziemiach sławnej tej korony hiszpańskiej, w której słońce wówczas nigdy zachodzić nie chciało, a tak pełna jest

przygód, tak buchająca uniesieniami wszelkiego rodzaju, że wystarczyłoby ich dla dziesięciu najodważniejszych kawalerów kastylskich, gdy tymczasem bohaterką ich jest jedna tylko kobieta, a w dodatku mniszka.

Autobjografja ta jest już zresztą sama przez się dowodem niezmiernej odwagi, gdyż jest ona właściwie spowiedzią publiczną z dziwnego, niesłychanego życia, spowiedzią istoty szalonego temperamentu, a do tego istoty tak imponującej siłą i niezwyczajnością, że zamiast kar inkwizycyjnych i trybunalskich duchowni i świeccy dygnitarze podejmują ją i wyróżniają; sława jej sięga od dalekich Indyj do stóp papieża, pozwalającego jej uroczyście nosić strój męski; społeczeństwo ojczyste rozczytuje się w »Relacjach« jej czynów, a najlepszy z uczniów Lopeza, Juan Perez de Montalvan, czyni ją bohaterką znakomitego dramatycznego utworu: *La monja Alferez* (Mniszka Chorąży). Nareszcie król nadaje jej osobiście pensją dożywotnią.

Jadąc z kolonji do ojczyzny, pisze ona czy też dyktuje swoją »Historją«, a czyni to w sposób tak charakterystyczny, tak odpowiedni swemu usposobieniu, że krótki, urywany, czysto faktyczny jej frazes jest tylko jakby dalszym ciągiem życia, składającego się z samych czynów, bez słów i rozmyślań. Czyny te zresztą sprawiają najczęściej wrażenie odruchów, tak są nagłe i prawie nieświadome. Naprózno też szukalibyśmy w jej opowiadaniach jakichś szczegółów estetycznych, z wyjątkiem chyba eleganckich pchnięć ostrej szpady i rycerskiej gotowości do utraty hardego żywota.

Całkowity tekst owej »Historia«, znanej dawniej w rozmaitych formach w Hiszpanji, został wydany w Paryżu w bieżącem stuleciu, a mianowicie w r. 1829. z dodatkiem dokumentów — metryki chrztu, formularzy, świadectw służby, ankiet sądowych i dekretów królewskich. Przed niedawnym czasem zapoznał się z utworem tym znakomity poeta i akademik francuski José Maria de Heredia, i kreolska fantazja jego zapaliła się do takiego stopnia awanturniczą donną Cataliną, że postarał się on podzielić wrażeniami swemi z szeroką publicznością, wydrukował w *Revue de deux Mondes* całą jej sążnistą autobjografją *in extenso* i napisał do niej ładną przedmowę.

A my? My idziemy w jego ślady, zachowując starannie surowe właściwości stylu, lecz skracając tekst i wybierając z niego niektóre tylko przygody. Czynimy to tylko ze względu na brak miejsca, gdyż te wspomnienia autentyczne czytają się jak fantastyczna powieść, a zasługują na uwagę nietylko ze względu na oryginalność bohaterki, lecz i dla tego także, że rzucają ciekawe światło na ówczesne pojęcia i stosunki społeczne i kulturalne, na rolę duchowieństwa, władz i procedury sądowej.

I.

Ja, donna Catalina de Erauso, urodziłam się w mieście San Sebastian de Guipozcoa, w r. 1585., jako córka kapitana don Miguel'a de Erauso i donny Marji Perez de Gallaraya y Arce, obywateli wymienionego miasta. Rodzice moi hodowali mię w domu, wraz z braćmi do czterech lat życia. W roku tysiąc pięćset ośmdziesiątym dziewiątym oddali mię do klasztoru panien dominikanek w San-Sebastian el Antiguo. Ciotka moja, donna Urszula de Unce y Sarasti, siostra cioteczna matki mojej, była tam przełożoną. Zostawałam tam do piętnastego roku życia, i wtedy już zaczęto mowić o złożeniu ślubów zakonnych. Zbliżał się właśnie rok mego nowicjatu, kiedym się pokłóciła z pewną zakonnicą, donną Cataliną de Aliri, która zostawszy wdową, wstąpiła do klasztoru. Była ona silną kobietą, a ja podlotkiem tylko, poturbowała więc mię tak, że aż nadto dobrze poczułam jej rękę.

W nocy na ośmnasty marzec tysiąc sześćsetnego roku, w wigilję św. Józefa, kiedy wszystkie siostry wstały o północy, żeby śpiewać godzinki, i ja też poszłam na chór i zastałam tam ciotkę moją klęczącą. Przywołała mię ona i wręczając mi klucz od swej celi, kazała mi przynieść brewiarz. Poszłam tam, otworzyłam, wzięłam go i spostrzegłam wiszące na ćwieku klucze klasztorne. Zostawiłam celę otwartą i odniosłam ciotce klucz jej wraz z brewiarzem. Zakonnice były tymczasem zajęte na chórze uroczystem śpiewaniem godzinek. Podczas pierwszej ich części zbliżyłam się do ciotki i prosiłam ją o pozwolenie odejścia, pod pretekstem niezdrowia. Ciotka, kładąc mi rękę na głowie, rzekła: »Idź, połóż się!«. Opuściłam chór, zapaliłam świecę, wróciłam do celi i wziąwszy oprócz kluczów klasztornych, nożyczki, nici, igłę etc. wyszłam, otwierając i zamykając drzwi za sobą. U drzwi ostatnich, wychodzących na ulicę, zdjęłam ze siebie szkaplerz i wybiegłem na ulicę, nigdy przedtem nie widzianą, nie mając pojęcia o tem, dokąd iść, w jaką stronę się kierować. Poszłam, gdzie oczy mię niosły, i znalazłam się po pewnym czasie w gaju kasztanowym, całkiem za miastem i w stronie przeciwległej klasztorowi. Schroniłam się do niego i przybywałam tam w ciągu trzech dni, przerabiając i wykrawując sobie odzienie. Sporządziłam sobie z baskiny sukiennej coś w rodzaju spodni, a z zielonego kotyljonu, który nosiłam pod spodem, wyszedł kaftan i kamasze. Nie wiedziałam, co miałam zrobić z resztą ubrania i zostawiłam je w gaju. Obcięłam też sobie włosy i wyrzuciłam je. Trzeciej nocy puściłam się w dalszą drogę; idąc wciąż przed siebie poprzez gościńce i wioski, znalazłam się wreszcie w Wittorji, oddalonej o mil dwadzieścia od San-Sebastian; byłam bardzo zmęczona i głodna, nie mając nic do jedzenia, prócz ziół, spotykanych przy drodze.

Wchodziłam do Wittorji nie wiedząc, gdzie się przytulić. Po kilku dniach zrobiłam umowę z doktorem don Franciszkiem de Cerralta, który z łatwością przyjął mnie do swego domu i dał mi odzienie. Był on żonaty z kuzynką mojej matki, jak się dowiedziałam wtedy; ale nie zwierzałam mu się wcale, kim byłam. Mieszkałam u niego około trzech miesięcy, podczas których, przekonawszy się, że czytam dobrze po łacinie, polubił mnie bardzo i chciał nakłonić do nauki. Wymawiałam się od niej, on się upierał, zmuszając mię wreszcie do niej szturchańcami. Wskutek tego zdecydowałam się go porzucić, co też uczyniłam: zabrałam mu trochę monety i zgodziwszy się z pewnym właścicielem mułów, wyruszającym do Walladolidy, o czterdzieści mil ztamtąd, pojechałam w jego towarzystwie.

Znalazłszy się w Walladolidzie, gdzie wówczas przebywał dwór królewski, ulokowałem się jako paź u don Juan'a de Idiaquez, sekretarza królewskiego. Ten mię uczciwie przyodział i byłem u niego pod imieniem Franciszka Loyola w ciągu miesięcy siedmiu, ku wielkiemu memu zadowoleniu. Po upływie tego czasu, czuwałem kiedyś w nocy, wraz z innym paziem, u drzwi mego pana, gdy w tem nadchodzi mój ojciec i zapytuje, czy może się widzieć z senorem don Juan'em. Towarzysz mój odpowiedział twierdząco. Ojciec kazał się zameldować, paź wyszedł, a ja tymczasem zostałem z ojcem, nie mówiąc ani słowa i nie dawszy się poznać. Paź wrócił i poprosił ojca na górę. Ojciec szedł tam, a ja za nim. Don Juan spotkał ojca na schodach i obejmując go wykrzyknął: — »Panie kapitanie, jaki dobry wiatr sprowadza was tutaj!« Ojciec dał mu do zrozumienia, że ma jakieś zmartwienie.

Don Juan więc wrócił do siebie, pożegnał kogoś z odwiedzających i przyszedł do nas znowu. Usiedli. Zapytał, o co chodzi, a ojciec opowiedział, że córka jego uciekła z klasztoru; że to właśnie było powodem jego przybycia i poszukiwań. Don Juan oświadczył na to, że czuje się podwójnie dotkniętym, naprzód ze względu na ojca i na mnie, których bardzo kocha, a powtóre ze względu na klasztor, którego był patronem, wskutek fundacji przodków.

Co do mnie, wysłuchawszy rozmowy i trosk rodzicielskich, wymknąłem się, pobiegłem do swego mieszkania, zabrałem część swoich manatek i wyszedłem, unosząc ze sobą swoje ośm dublonów. Poszedłem do oberży, w której spędziłem noc tę, a dowiedziawszy się, że pewien właściciel mułów wybiera się nazajutrz do Bilbao, wszedłem z nim w ugodę i o brzasku rannym podnosiłem się już z posłania, nie mając pojęcia o tem, co robić i dokąd iść, chyba jak piórko dać się unosić wiatrowi.

W końcu długiej drogi, mil czterdziestu, zdaje mi się, wchodziłem do Bilbao, gdzie nie miałam ani przytułku ani pomocy. Nie wiedziałem, co zrobię ze sobą. Podczas tych kłopotów kilku chłopców uparło się mię otaczać i dokuczać do takiego stopnia, że mi się wreszcie uprzykrzyli. Musiałem podnosić kamienie i rzucać je na nich. W ten sposób zdarzyło mi się jednego z nich ranić, nie wiem gdzie nawet, bo nie widziałam tego wcale. Schwytano mię za to i przetrzymano długi miesiąc w więzieniu, aż do wyzdrowienia tamtego. Wówczas mię wypuszczono Zapłaciłem wydatki i pozostało mi jeszcze trochę grosza. Wyszedłem niezwłocznie z miasta i pojechałem do Estelli w Nawarze, odległej ztamtąd o mil dwadzieścia. Po przyjeździe do Estelli podałem się na pazia do Don Carlos'a de Arelano, na której to służbie spędziłem dwa lata, dobrze utrzymywany i odziewany*. Potem zaś, bez żadnego innego powodu, prócz mego własnego kaprysu, porzuciłem dom ten i przeniosłem się w swoje strony, do San-Sebastian, o mil dziesięć od miejsca mego urodzenia, gdzie się zatrzymałem, nie będąc nikomu znany, wystrojony i elegancki nadzwyczajnie. Pewnego dnia poszedłem na mszę do naszego klasztoru. Matka moja także tam była. Spostrzegłem, że patrzyła na mnie, ale mnie nie poznała. Po skończonem nabożeństwie, mniszki zaprosiły mię na chór do siebie, ale udałem, że nie rozumiem i po rozmaitych grzecznościach zręcznie się wymknąłem. Było to w początkach roku tysiąc sześćset trzeciego.

»Ztamtąd udałem się do portu Pasaga, o milę tylko odległego. Spotkałem tam kapitana Miguel'a de Borroiz, którego statek miał odpłynąć do Sevilli. Prosiłem go, aby mię tam zawiózł i umówiliśmy się, że mu zapłacę czterdzieści realów. Wszedłem na pokład, odbiliśmy i przypłynęliśmy szybko do San-Lucar. Zaraz po wylądowaniu pojechałem oglądać Sevillę, ale pomimo to, iż wszystko ciągnęło mię tam do uciech i rozrywek, nie zatrzymałam się jednak dłużej, jak dwa dni tylko i wróciłem do San-Lucar. Tam spotkałem kapitana Miguel'a de Echazarreta, współziomka mego, dowodzącego jednym ze statków armady, której generałem był don Luis Fernandez de Cordowa. Wszedłem na służbę na galjonie kapitana Esteraua Eguinno, wuja mego, brata ciotecznego mej matki, mieszkającego obecnie w San-Sebastian. Wsiadłem na okręt i wypłynęliśmy z San-Lucar, w poniedziałek wielkanocny roku tysiąc sześćset trzeciego.

C. d. n. *Rom. Baudouin de Courtenay.*

* Donna Catalina pisze o sobie jak o mężczyźnie, rzadko tylko używając form gramatycznych żeńskich.

MARZYCIEL.

Obrazek z bruku warszawskiego

Przez

KLEMENSA JUNOSZĘ.

(Ciąg dalszy).

— Jabym pragnął, żeby pani tytułowała mnie kuzynkiem... Ignasiem.

— Co to, to nie.

— A jednak był czas, że mówiliśmy sobie po imieniu.

— Czas przeszły, dokonany, a zatem nie powracający już.

— A jednak taki przyjemny! Czy nie chciałaby pani, żeby się wrócił.

— Albo ja wiem? Ostatecznie wolałabym kuzynku, widzieć cię takim jak niegdyś, miłym, wesołym chłopcem, aniżeli...

— Jakim?

— A takim oto skrytym, pełnym tajemnic dygnitarzem przyszłości, właścicielem majątków.

— Ach, kuzyneczko, Filu! ja dla ciebie zawsze...

— Dzieci, dzieci! — zabrzmiał głos pana Ludwika.

— Młodzi stanęli.

— Już nie wytrzymam — rzekł pan Widelski — pędzicie jak lokomotywa, nadążyć wam nie mogę, zasapałem się, zmęczyłem, a do domu jeszcze kawał drogi. Jesteśmy dopiero na Brackiej.

— Prawda.

— A no widzicie, proponuję zatem odpoczynek. Pójdziemy przez Saski Ogród, czas prześliczny, a ten szelma księżyc kusi formalnie. W ogrodzie posiedzimy, ztamtąd wstąpimy na herbatę do cukierni, a kolację to nam Joasia da w domu. Przypuszczam mateczko, że znajdziesz co do jedzenia w kredensie.

— Mój kredens nigdy nie jest pusty — odpowiedziała pani Joanna. — Będzie kolacja.

— Doskonale matuchno! kiedy hulać to hulać. Jutro święto, do biura nie idę, można więc i spać dłużej, a ten księżyc...

— Coś ty sobie dziś do księżyca upatrzył, Ludwisiu.

— Ha... taki szelma śliczny, że tylko spacerować, pisz, maluj, elektryczne światło. No, idźcie dzieci naprzód, tylko proszę, nie tak prędko. Wam, młodym, łatwo, a my z mamusią nie możemy tak zdążać.

Pan Ignacy przycisnął silniej rękę kuzynki i wrócił do przerwanej rozmowy.

— Ja zawsze — rzekł — dla ciebie kuzyneczko, jestem takim, jak dawniej byłem.

— Nie widzę tego.

— Bo nie chcesz... A jednak tak jest. Od najmłodszych lat byłem marzycielem i marzyłem, marzyłem... tylko... o tobie... O gdybyś wiedziała, gdybyś ty wiedziała...

— O czem?

— Jak ja ciebie bardzo a bardzo kocham. Ja nie znam co sen, nie znam co wypoczynek. Obraz twój zawsze przed memi oczami, stale, wiecznie... Czy podzielasz moje uczucia? Czy odpowiesz na nie wzajemnością? Filu, jedyna moja, najdroższa!

Coraz silniej tulił jej rękę do siebie, coraz ciszej, a zarazem coraz namiętniej przemawiał, a ona drżąca, to czerwieniejąc, to blednąc naprzemian, słuchała tej mowy z niepokojem i z rozkoszą zarazem, słuchała jakby melodji jakiej cudownej, zapominała co się z nią dzieje, nie widziała ani licznych przechodniów, tłoczących się na chodniki, ani przejeżdżających powozów, ani oświetlonych wystaw sklepowych, cała jej istność skupiła się w jednem rozkosznem, błogiem, nie dającem się opowiedzieć uczuciu.

A on pochylony ku niej, ustami prawie jej małego dotykając uszka, szeptał najczulsze wyrazy przywiązania i miłości, kreślił w najponętniejszych barwach obraz przyszłego życia we dwoje.

— Bo ty nie masz wyobrażenia — mówił — ile ja już nad tem myślałem. Już mam nakreślony plan mieszkania, rysunek i kolor mebli, rozkład naszych zajęć, normę wydatków; ile na potrzeby codziennego życia, co na przyjemność, co na czarną godzinę. Cóż ty na to, ukochana moja!

— Ja nie chcę znać czarnych godzin, wszystkie powinne być jasne, promienne, bo...

— Bo co, co? jedyna.

— Bo ja... pana, to jest kuzynka... to jest ciebie Ignasiu... bardzo kocham i to jest wszystko, co ci w tej chwili mogę powiedzieć. Nie jestem obłudną, nie lubię kłamać, czekałam na twe wyznanie może od roku, od dwóch, tyś milczał. Nieraz zdawało mi się, że się łudzę, chociaż przeczuwałam, domyślałam się że ty jednak trochę o mnie myślisz.

— Tak, o tak! Myślałem ciągle. Będziemy mieli kącik miły, wygodny, nie zabraknie nam nic, nie doznamy niedostatku, przeciwności...

— Ach, ja o tem nie myślę...

— A ja wciąż. Awans, o którym twój ojciec wspominał, jest pewny, przyrzeczono mi; prócz tego mam i inne widoki... będziemy bardzo szczęśliwi i bardzo bogaci.

— Ignasiu — szepnęła — po co ty jeździłeś do Siedlec?

— To ci w głowie?

— Jestem ciekawa i sądzę, że od tej chwili nie powinno być pomiędzy nami tajemnic. Dlaczego powiedzieć mi nie chcesz?

— Ależ owszem, z całą przyjemnością; jeździłem ponieważ miałem tam interes.

— A jaki?

— Pieniężny. Trafiała się do nabycia suma hipoteczna, na bardzo dogodnych warunkach, a ponieważ miałem trochę gotowizny, więc chciałem kupić.

— Ja tego dobrze nie rozumiem.

— Nie dziwię się, ty się na takich rzeczach znać nie możesz, kochanie. Wytłómaczę ci to kiedy, przy sposobności, teraz mówmy o szczęściu. Wszak trzy pokoje dla nas dość będzie?

— Wszystko jedno; trzy, dwa, ile ci się podoba.

— Dwa za mało. Stosunki mam, trzeba będzie z ludźmi żyć, musimy mieszkać elegancko. A jaki kolor mebli?

— To mi zupełnie obojętne.

— Ja mam już upatrzony garnitur, bardzo ładny i nie drogi, bo widzisz, ja od dawna już o szczęściu marzę i tak ciągle kombinuję, tak obmyślam.

— Jakiś ty dobry, Ignasiu.

Już w cukierni rodzice zauważyli, że coś pomiędzy Teofilką a panem Ignacym zajść musiało. Pan Ludwik szepnął swej małżonce do ucha

— Mówiłem, że ten księżyc ma w sobie coś szelmowskiego. Ja się na takich rzeczach znam, moja pani.

— Ale zdaje ci się — odrzekła pani Joanna.

— Przekonasz się wkrótce.

Tegoż samego wieczoru pan Ignacy oświadczył się rodzicom swej ukochanej.

Była scena rozrzewnienia; matka miała łzy w oczach, córka rozpłakała się w objęciach matki, ojciec usiłował ukryć wzruszenie i nie pokazywać po sobie, że ma ochotę cały świat do serca przycisnąć.

Pan Ignacy był jakby cokolwiek zażenowany, co się łatwo dało wytłumaczyć uroczystością chwili.

Były błogosławieństwa i życzenia, snuły się projekta szczęśliwej przyszłości, a czas schodził tak szybko, że nie spostrzeżono nawet, kiedy różowe światło wschodzącego słońca oblało mury miejskie i napełniło blaskami pokój, w którym się znajdowało czworo ludzi szczęśliwych.

* * *

Słusznie powiedziała ciotka Weronika, że jeszcze nigdy w życiu swojem, nawet przy największym ruchu karnawałowym, kiedy zazwyczaj w sklepie drzwi się nie zamykają, nie była tak zmęczona i tak utrapiona, jak tego lata i to podczas martwego sezonu, w sierpniu. Trzeba było po całych dniach zostawiać sklep pod niezbyt pewną opieką Zośki, dziewczyny niepraktycznej i narwanej, a samej chodzić po mieście, kupować różne płótna, wstawki, koronki, materjały najrozmaitsze na wyprawę dla Fili.

Można było wprawdzie kupić wyprawę gotową i uniknąć wszelkiego kłopotu, ale ciotka stanowczo się temu oparła, twierdząc, że wszelka tandeta nie ma sensu i że każda szanująca się panna musi mieć wyprawę zrobioną na urząd. Mogła też nabyciem materjałów zająć się sama panna Teofila wraz z matką, ale i na to pani Weronika nie chciała się zgodzić.

— Chcąc coś kupić — mówiła — trzeba się przedewszystkiem znać, a wy, tak matka jak i córka, nie macie o towarach ani o cenach pojęcia. Oszukają was na każdym kroku, pieniędzy wydacie masę i zamiast wyprawy będziecie miały tobół nic nie wartych gałganków. Joasia nie jest znawczyni, a kochana Filcia ma pełną głowę, jakże się nazywa... ach! przypominam sobie: amorów! i gdyby jej dano maglownik zamiast *poult de soie* na suknię, toby wzięła i jeszcze pięknie podziękowała. Cóż więc robić, chociaż mam roboty wyżej głowy, chociaż zostawiam sklep na opiece popychadła, jednak muszę się wszystkiem sama zająć, bo nie mogę pozwolić na marnowanie pieniędzy. Małżeństwo jest głupstwo, ale wyprawa musi być porządna, od ścierki do obrusa, od pończochy do firanek, wszystko musi być mocne eleganckie, modne i tanie. Już mnie tam żaden żyd nie oszuka, na wszystkiem się znam, a wytargować się potrafię doskonale.

Pani Weronika mówiła szczerą prawdę i w słowach jej nie było czczej przechwałki. Jak uragan wpadała do sklepów na Żabiej, za Żelazną Bramą, na Nalewkach, kazała sobie podawać wszystko, co tylko się na półkach znajdowało, przewracała, wykazywała wady towaru, a kiedy powiedziano jej cenę, miażdżyła cały personal sklepowy piorunującym wzrokiem i pełnym oburzenia wykrzyknikiem:

— Co?...

Rzuciwszy takie zapytanie, nie patrząc już na porozrzucane, jakby po tatarskim napadzie, towary, z godnością zmierzała ku drzwiom.

Rozumie się, że w takim razie pan kupiec, kupcowa, wszystkie ich dzieci, dziewczyny sklepowe i subjekci, gromadzili się u wejścia, prosząc, aby godna pani nie była tak gwałtowna, tłómacząc, że w handlu niema gniewu, że z taką nadzwyczajną znawczynią można się porozumieć w dwóch słowach, że zresztą cena towaru to nie jest przeznaczenie, którego zmienić nie można, ale pojęcie tak rozciągliwe i elastyczne jak kauczuk.

Ciotka ustępując tym prośbom, zasiadała na podanem jej uprzejmie krzesełku, rzucając znowuż lakoniczne zapytanie:

— Więc?

Od tego momentu zaczynała się dopiero prawdziwa praca dla personalu sklepowego.

Jakie zaklęcia, jakie przysięgi! Na zdrowie własne, na dzieci, na dożycie do wieczora, na szczęście do handlu, na dojście do domu, na połamanie rąk i nóg, na choroby i wszelkie nieszczęścia wrogów, na słońce, które świeci nad

nami, na wieczór jaki niedługo nastanie, na szczęśliwe dożycie do dnia szabasowego, na sumienie, na honor, na oryginalne faktury i rachunki, na znaną w całej Warszawie uczciwość, a ciotka słuchała tego wszystkiego poważna jak posąg spiżowy, jak posąg niewzruszona, od czasu do czasu rzucając tylko urywane wyrazy.

— Jak chcecie. Nie mogę. Nigdy w życiu. Nie głupiam.

Nareszcie kupiła co chciała, jak chciała i po czemu chciała.

Jest fakt, że jeden z najwytrawniejszych bławatników za Żelazną Bramą, człowiek wypraktykowany i odznaczający się wytrwałością nadzwyczajną i wymową nieporównaną, pewnego razu, po wyjściu Weroniki ze sklepu, chwilowo zamilkł. Oddychał ciężko, ocierał pot z czoła i dopiero po dziesięciu minutach odpoczynku i po wypiciu szklanki wody, rzekł do żony:

— Niech moje wrogi mają takich kundmanów.

Chociaż energiczna ciotka Weronika wzięła na swe barki cały ciężar nabycia materjałów na wyprawę, jednak i pani Joanna miała kłopotów nie mało. Od rana do nocy była czynna, pilnując szycia, znaczenia, myśląc nad tem, żeby uczta weselna była wspaniała i imponująca.

Jedna tylko córka, jedno wesele, niechże więc będzie co się zowie.

Tego samego zdania był pan Ludwik, cały czas od zajęć biurowych wolny poświęcał na przygotowania do tego ważnego aktu, chodził do kupców wybierać wino, do jubilerów po srebra, porównywał ceny, zastanawiał się, namyślał.

Przez całe życie oszczędny, skąpy nawet, w tym wypadku do rozrzutności nawet się skłaniał, powtarzając sobie ciągle w duchu:

— Niech znają, niech wiedzą!

On tak swoją jedynaczkę kochał, że gotów był na jej wesele nawet kamienicę odświeżyć, dach pomalować, nową poręcz do schodów dorobić i dywanami je wysłać.

Serdecznie się cieszył, widząc Teofilkę uśmiechniętą ciągle, zarumienioną, szczęśliwą; cieszył się jej radością, dumnym s ę czuł, że oddaje jedyne dziecko w ręce człowieka, którym będzie mógł się kiedyś poszczycić.

Już się nawet szczycił. Taką miał naturę, że nie mógł radości i dumy swojej w własnem sercu, dla siebie tylko zawrzeć, lecz pragnął podzielić się nią ze wszystkimi, którzy bliżsi mu byli.

W wielkim sekrecie przed żoną, upozorowawszy mniej więcej zgrabnie swoje wyjście o wieczornej porze, pan Ludwik zaprosił przyjaciół swoich i kolegów do handlu.

Nie robił tego nigdy, zawsze żył oszczędnie, pieniędzy nie wyrzucał bez potrzeby, ale w tym wypadku już powstrzymać się nie mógł. Za wiele nazbierało się w sercu, trzeba to było na wierzch wydobyć, pochwalić się przed przyjaciółmi.

Niechże wiedzą, niech znają... co to Widelski!

I zgromadziło się w ponurej izbie sklepowej kilku kolegów biurowych pana Ludwika, kilku sąsiadów kamieniczników, właścicieli małych nieruchomości. Wszyscy przyszli punktualnie o oznaczonej godzinie, rozmowa płynąć zaczęła z początku powoli i cicho, a potem żwawiej i gwarniej, w miarę wychylanych kielichów i wypróżnianych butelek. Posypały się toasty, wznoszono kolejno zdrowie amfitryona, szanownej jego małżonki, zdrowie narzeczonych jako przyszłej pary, narzeczonej oddzielnie, narzeczonego...

— Niech żyje twój przyszły zięć, kochany panie Ludwiku.

— Niech żyje!

— Podobno dzielny chłopak.

— Znakomity — odezwał się jeden z uczestników zebrania, — nie ma o czem mówić, konkursowy zięć; z latarnią szukać, drugiego takiego nie znajdzie.

— Powiedzże nam co o nim, szczęśliwy teściu.

C. d. n.

Rozbiory i sprawozdania.

Dr. Stan. Głąbiński. — »Wykład nauki skarbowej«.

W ramach szczupłej notatki ocenić dzieło tak obszerne (str. 525 4to) rzecz trudna; tem trudniejsza, że pod skromnym tytułem dał autor nietylko studjum o pojęciu i podstawowych zasadach gospodarki państwowej, tudzież pogląd na wydatki i przychody skarbowe, do czego ograniczają się zwykle kameraliści — lecz zaopatrzył swe dzieło wstępem, zawierającym szczegółową, a o ile nam wiadomo, pierwszą w języku polskim historją skarbowości. Należy się autorowi wdzięczność, że nie ograniczył się na suchem streszczeniu dzieł obcych, traktujących o dziejach nauki skarbowej, lecz dał nam obraz żywy, dla nas tem cenniejszy, że zamieszcza w nim poraz pierwszy może udatny pogląd na rodzimą polską literaturę skarbową.

Przedstawiony tam przez autora zarys projektów takich mężów jak Andrzej Frycz Modrzewski, zdumiewających bystrością sądu i zrozumieniem natury państwa, propagujących r ó w n o ś ć o b o w i ą z k ó w i prześcigających postępowością postulatów późniejsze stulecia — dowodzi, że polska literatura skarbowa nie jest wcale kopciuszkiem, lecz zasługuje, by ją wydobyto z grobu zapomnienia na światło dzienne. Dość wspomnieć, że postulat zwolnienia minimum egzystencji od ciężarów państwowych, przypisywany powszechnie Benthamowi, miał już u nas wymownych rzeczników w grupie pisarzy złotego wieku.

Z całego dzieła dra Głąbińskiego wieje też duch postępowy, demokratyczny; autor nie ugina się z nabożnym fetyszyzmem przed powagą faktu, że państwo ma takie a takie dochody, takie a takie wydatki, ale zimno bada ich wartość pod względem prawnym i etycznym, ich racjonalność pod względem ekonomicznym i skarbowym i potępia je, jeśli tym wymogom nie odpowiadają.

W dziale o »wydatkach« państwa, które ściśle od »potrzeb« odróżnia, przedstawia nam też autor między innemi, jak

dzięki długotrwałym wojnom bieżącego stulecia, a obecnie dzięki zbliżonemu do wojny »zbrojnemi pokojowi« wydatki na cele nieproduktywne przygniatają swym ciężarem wszystkie państwa, tak, że bardzo tylko skromne sumy pozostają na opędzanie kulturnych zadań państwa, jak oświata i sądownictwo, nie mówiąc już o wspieraniu ekonomicznego rozwoju narodów, o łagodzeniu lub uchylaniu kwestji społecznych, na co wszystko nie stać państwa, niestety, gdyby nawet chciały się tem zająć, nie stać je dzięki skarbcom wojennym, dzięki zapasom ciągle rosnącym amunicji i broni, dzięki grzebanym bezpowrotnie w fortecach kapitałom. Austrja sama 75% swych czystych dochodów poświęca na militaryzm i na umorzenie ściśle z nim związanych długów. Wobec tego jasnem jest, że wydatki na cele oświaty są minimalne, że przyrzeczona reforma skarbowa postępuje trwożliwie, że więzienia w Austrji pozostawiają bardzo wiele do życzenia itd. (Stąd to pochodzi, że celem opędzenia tych wydatków gniecie obywateli państwa cały system niesprawiedliwych opłat i podatków, które pomimo zgodnego potępiającego werdyktu istnieją i jak wskazuje projekt Plenera miały przejść także do skarbowości przyszłości).

Autor systemowi dochodów państwa poświęca przeważną część swego dzieła. Przed oczyma naszemi przesuwa się różnobarwny kalejdoskop dochodów państwa, począwszy od dóbr nieruchomych, które dzięki epoce liberalnych doktryn bywają wyprzedawane z wyjątkiem terytorjów leśnych, aż do istniejącego jakby na ironię tak nazwanego »regale« loterji liczbowej, którą w Europie posiada tylko Austrja — i Turcja.

Następnie przedstawia nam autor system podatków, począwszy od pogłównego i podatków katastralnych, a skończywszy na bezpośrednim progresywnym podatku dochodowym który, zdaniem autora, jest ideałem — dodajmy niestety t y l k o ideałem — obecnej gospodarki podatkowej.

Nakoniec mamy zajmujące studjum o długach państwa, o sposobie ich umorzenia, tudzież o budżecie. Z zapałem i rozwagą postępowca broni młody uczony prawa budżetowego reprezentacji narodów przeciw śmiesznemu frazesowi jakoby rozprawa budżetowa była komedją. Jeśli nią bywała — jak to konstatowano nieraz — to źle: być nią nie powinna i zapewne nie będzie, bo prawo budżetowe parlamentu jest najcenniejszą jego siłą, najsilniejszym wyrazem woli reprezentacji narodów.

Głąbiński przekonywująco udowadnia, że prawo budżetowe jest pierwiastkowym, zasadniczym postulatem każdej konstytucyjnej formy rządu, karcąc swoją drogą nadużycie, na podstawie którego główną uwagę poświęca się preliminarzowi zamiast, jakby to czynić należało, obrazowi faktycznych wydatków zamknięciu rachunkowemu.

Dzieło całe przedstawia się jako wyborny podręcznik dla adeptów nauki skarbowej, a nadto powinno także znaleźć szerokie koło czytelników wśród naszej inteligentnej publiczności, zwłaszcza że od czasu wyczerpania książki dra Leona Bilińskiego, dotkliwie dawał się już odczuwać brak podobnego dzieła w naszej literaturze ekonomiczno-politycznej.

Przegląd pism.

»Kwartalnik historyczny«. — Zeszyt III. — 1895.

Piękna praca p. Hecka p. t. »Troja w świetle najnowszych wykopalisk«, będąca owocem podróży, którą autor w r. 1890 odbył z Aten do Troi i Konstantynopola rozpoczyna omawiany zeszyt »Kwartalnika«. Skorzystał autor i z tego, że pobyt jego w Troi przypadł właśnie na koniec robót ekspedycji Dörpfelda, godnego następcy Schliemanna, i w sposób treściwy i jasny przedstawił rezultaty pracy obu tych uczonych koło wykopalisk trojańskich. Całość dokonanych wykopalisk przedstawia nam szereg warstw, pokładów, na których istniał szereg osad. Czas istnienia najstarszej przypada na 3500—3000 lat przed Chr.

O ile sądzić można z wykopalisk, mieszkańcy tej osady »zespolili się już w jednostkę społeczną i polityczną, budowali sobie domy z płaskich kamieni i gliny, otaczali je prawdopodobnie murem obronnym, umieli wypalać naczynia gliniane i probowali je ozdabiać, znali użycie lnu, sporządzali potrzebne narzędzia z różnych odmian kamienia tudzież sporadycznie i z miedzi, i prowadzili wreszcie handel z innymi ludami, przywożąc sobie od nich kość słoniową i nie znajdujące się na miejscu gatunki minerałów... Po tym okresie przygotowawczym czwartego tysiącolecia przed Chr. następuje kultura II. uwarstwienia, która upada, aby zrobić z czasem miejsce nowemu świetniejszemu okresowi z epoki mykeńskiej cywilizacji. I ta również przemija a na jej miejscu rozsiada się człowiek okresu poaleksandrowego i rzymskich cezarów«.

P. Mandybur pisze o »Historji« Krasickiego, usiłując obalić dotychczasową nieprzychylną ocenę tego utworu (Kraszewskiego i Chmielowskiego).

W Miscellaneach zasługuje na uwagę »Geneza bajki o papieżycy Joannie« przez ks. Fijałka. *p.*

PRO MEMORIA.

5. sierpnia 1772. Podpisano w Petersburgu układ pierwszego podziału Polski. Austrja zabrała sobie: Ruś Czerwoną, część Podola i część Małopolski, razem 1280 mil kwadr., Moskwa województwo Mścisławskie, Witebskie i kraje za Dnieprem położone razem 1075 mil kwadr., Prusy województwa: Malborskie, Pomorskie, Warmińskie i obwód Notecki, razem 650 mil kwadr.

5. sierpnia 1864. Na stokach cytadeli warszawskiej powieszono 5 członków Rządu Narodowego: Traugutta, Krajewskiego, Toczyskiego, Żulińskiego i Jeziorańskiego. Skazańcy ponieśli śmierć z bohaterskim spokojem. Bez postronnej pomocy przywdziali śmiertelne koszule i zarzucili sobie stryczki na szyję, przyczem jeden z nich pocałował sznur, który miał go udusić, aby tem okazać, że z miłością wita męczeństwo za wolność i ojczyznę. Traugut modlił się na szubienicy ze złożonemi rękami i wzrokiem w niebo utkwionym. W położeniu tem pozostał nawet po śmierci. Tłumy ludu, zalegające plac tracenia padły na kolana w chwili zgonu męczenników, wybuchając ogromnym płaczem i jękiem.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.